

Wszystko może się przytrafić

Czyli kilka rozmów międzypokoleniowych

Rozmawiają:

Urszula Skibińska z **Charlesem Woodruffem**

Tomasz Kinowski i Tymoteusz Kopeć z **Barbarą Kopeć**

Gabriela Jastrzębska i Marianna Klimczak z **Elżbietą Idzikowską**

Zofia Marczuk, Julia Sawicka i Laura Witak z **Jackiem Bąkiem**

Jan Borowski i Konstanty Radziwiłł z **Markiem Borowskim**

Z INTERNATU DO INTERNETU

czyli wywiad z 65.letnim londyńczykiem, jedynakiem i psychologiem uzależnionym od wszystkich sprzętów na „I”: Iphone’a, Ipada itd.



Charles Woodruffe w rozmowie z Urszulą Skibińską

„Nie możesz wszystkiego zrobić, ale możesz zwiększyć prawdopodobieństwo, że dane rzeczy ci się przytrafią”

Nazwa naszego projektu wzięła się od nazwy filmu *Wszystko może się przytrafić* polskiego dokumentalisty Marcela Łozińskiego. Myślisz, że naprawdę wszystko może się przydarzyć?

To ciekawe pytanie. Tak, myślę, że wszystko może się przytrafić. Nie możesz wszystkiego

zrobić, ale możesz zwiększyć prawdopodobieństwo, że dane rzeczy ci się przytrafią. Np.: jeśli nie masz najlepszej koordynacji oko-ręka, trudno ci będzie zostać świetnym tenisistą, ale jeśli będziesz ćwiczyć, to możesz coś w tym sporcie osiągnąć. Ten pociąg, który nas mija za oknem, może zatrzymać się w tej właśnie chwili i w tym właśnie miejscu. Ten pokój może nagle stanąć w płomieniach. To może się w pewnym sensie przydarzyć. Według mnie raczej wszystko mogłoby się przytrafić.

Teraz trochę o Tobie. Jesteś Brytyjczykiem, jesteś też starszą osobą, co znaczy, że masz mnóstwo ciekawych doświadczeń. Słyszałam, że jak byłeś mały, to wysłano Cię do szkoły z internatem. Czy było to tak straszne, jak się wydaje?

Tak, trafiłem do takiej szkoły, gdy miałem sześć, prawie siedem lat. Było to w latach 60. ubiegłego wieku. Szkoła nie znajdowała się daleko od mojego domu, Była od niego oddalona o jakieś dwadzieścia kilometrów.

To nie jest też znów tak bardzo blisko, więc rozumiem, że rodzice rzadko Cię odwiedzali.

Tamte czasy bardzo różniły się od dzisiejszych. Rok szkolny składał się z trzech trymestrów. Jeden trymestr trwał około czternaście tygodni. I dwa razy podczas tego trymestru, co trzy tygodnie nasi rodzice przyjeżdżali na dwie krótkie jednodniowe wizyty. Był też „półtrymestr”, czyli jeden wolny tydzień do spędzenia w domu.

Czyli trymestr wyglądał tak: idziesz do szkoły, trzy tygodnie szkoły, jeden dzień z rodzicami,

trzy tygodnie, tydzień z rodzicami, trzy tygodnie, dzień z rodzicami, trzy tygodnie i...

...i zakończenie trymestru. Mieliśmy też dłuższe ferie świąteczne. Przerwa bożonarodzeniowa trwała cztery tygodnie, przerwa wiosenna cztery albo pięć, wakacje za to podobnie jak u was około osiem tygodni.

Co robiłeś podczas tych bardzo długich wakacji i przerw?

Zaskakująco niewiele. Nie uwierzyłabyś, jak przerażająco nudnym miejscem dla nastolatka było wtedy zielone hrabstwo Kent. Nie mogłem się doczekać, żeby się z niego wyrwać. Podczas wakacji dużo jeździłem na rowerze, aż byłem na tyle dorosły, aby móc prowadzić motor, a później samochód. Moja rodzina rzadko wyjeżdżała na wakacje. Każdego lata wyjeżdżaliśmy do Kornwalii. Pamiętam wakacje we Francji i szkolną wycieczkę na Maltę. Czasem wybieraliśmy się na pobliskie plaże w Kent. Najczęściej zdarzały się wypadki do leżących nieopodal miasteczek Tenterden i Maidstone. Na samą myśl o tym odczuwam dreszcz emocji. Mówię to oczywiście z ironią. Zazwyczaj spędzałem czas obijając się w ogrodzie albo słuchałem płyt i spotykałem się z kumplami: Blairem, Danem, Jonathanem i innymi kolegami ze szkoły.

Czyli właściwie twoja pierwsza szkoła nie była taka zła.

No tak, za wyjątkiem tego jednego szczegółu –

internatu. To było okropne miejsce. Wojna niby minęła, ale wciąż pozostała bieda. Wyposażenie było bardzo podstawowe. Spaliśmy na łóżkach piętrowych w dużych budynkach zwanych dormitoriami, chyba po dwadzieścia osób w jednym. Sam budynek był zbudowany podczas wojny i służył jako koszary dla wojska. Pamiętam, że zawsze było strasznie zimno. Podczas zimy nawet po wewnętrznej stronie okien był lód.

A ile miałeś lat, gdy skończyłeś tę szkołę?

Miałem wtedy jedenaście lat i znów poszedłem do szkoły z internatem, ale do niej chodziłem już jako dzienny uczeń, bo znajdowała się na szczęście o wiele bliżej domu niż poprzednia (około siedem kilometrów). Rano o ósmej jechałem do niej autobusem albo rowerem. Gdy byłem rowerem, to najbardziej lubiłem trasę powrotną, ponieważ jej część stanowił długi i stromy zjazd z góry i w pewnym momencie nie musiałem w ogóle pedałować. Razem z kolegami zjeżdżaliśmy z niego w pełnym pędzie, bez trzymanki. Dobrze, że nasze mamy tego nie widziały. Gorzej jednak było z jazdą do szkoły.

Opowiedz coś więcej o przyjaźniach z tego okresu.

Przyjaźniłem się głównie z innymi chłopcami ze szkoły. Z Blairem i Jonathanem jesteśmy przyjaciółmi do dziś. Do naszej szkoły chodzili sami chłopcy. Dziewczyny nas wtedy przerażały, były jak istoty z obcej planety. To się później

bardzo zmieniło.

Jakie były twoje ulubione przedmioty?

Chemia, matematyka i ekonomia – wybrałem je jako przedmioty maturalne. Interesowałem się zwłaszcza ekonomią polityczną.

U nas nie ma ekonomii jako przedmiotu w szkole.

Naprawdę? To wspaniały przedmiot o światowej gospodarce i nauce polityczno-ekonomicznej.

Dokąd poszedłeś po szkole?

Trafiłem do Manchester University. Studiowałem tam trzy lata i tam też dostałem mój pierwszy stopień naukowy z zarządzania. Gdy zajmowałem się zarządzaniem, to najciekawsze wydawały mi się tematy związane z psychologią. To było coś, co chciałem dalej robić.

Postanowiłem jednak zdobyć stopień magistra z zarządzania, a właściwie z psychologicznych aspektów zarządzania. Później jeden rok w London University zdobywałem odpowiednie kwalifikacje z psychologii. Nawet obroniłem doktorat w tej dziedzinie. To były wspaniałe czasy do studiowania w Anglii. Wszystkie uniwersytety były bardzo tanie, więc spędziłem w nich osiem lat.

Co chciałeś robić po studiach?

Chciałem zostać lektorem albo profesorem psychologii zajmującej się osobowością. Dostałem pracę w Dublinie w Trinity Collage. To

był bardzo dobry uniwersytet, tam właściwie dokończyłem moje studia doktoranckie. Później przez jakiś czas byłem lektorem w Londynie, ale po kilku latach zrozumiałem, że to nie jest rzecz, którą chciałbym robić do końca życia. Wtedy zostałem doradcą w zakresie zarządzania. Tkwiłem w tym przez dwa albo trzy lata. Jednak, w pewnym momencie z niejaką arogancją uznałem, że sam zrobiłbym wszystko lepiej i tak stworzyłem własną firmę. Pracowałem w niej aż do momentu, gdy przeszedłem na emeryturę.

Czy zawsze chciałeś pracować w zarządzaniu zasobami ludzkimi? Kim właściwie chciałeś

zostać w przyszłości jako młody człowiek?

Najpierw widziałem siebie jako akademickiego psychologa w dziedzinie osobowości. Dążyłem do tego przez parę lat, ale po jakimś czasie zauważyłem, że jest to

dla mnie za nudny kierunek.

Minęło dużo czasu od opisywanych przez Ciebie lat. Co uważasz za największą zmianę, jaka dokonała się w ciągu Twojego życia?

Gdy pierwszy raz poszedłem do szkoły nie było komputerów. Nie były nawet wynalezione. Nikt nie wiedział, czym jest komputer. Nie mieliśmy dostępu do żadnego rodzaju telefonu, a już tym bardziej do smartfona. Musieliśmy pisać listy do domu i czekaliśmy wieki, aż dostaniemy odpowiedź. Ty pewnie w życiu nie napisałaś prawdziwego listu. To był nasz jedyny kontakt z rodzicami. Żadnych telefonów, żadnych

„Musieliśmy pisać listy do domu i czekaliśmy wieki, aż dostaniemy odpowiedź. To był nasz jedyny kontakt z rodzicami”

komputerów, żadnych maili. Nic. W domu nie było komórek. Był tylko telefon stacjonarny w salonie, którym dzieliło się z wszystkimi domownikami. To jest niesamowite jak świat się zmienił! To właściwie powrót do Twojego pierwszego pytania: „Czy wszystko może się przydarzyć?”. Gdy byłem małym chłopcem, nigdy bym nie pomyślał, że coś takiego mogłoby istnieć. To by było *science fiction*. Internet byłby fikcją. W podstawówce używaliśmy liczydła przy trudniejszych zadaniach z matematyki! Przez ostatnie pięćdziesiąt lat świat zmienił się nie do poznania! Pewnie zmieni się także w ciągu Twojego życia.

Skoro tak mówisz, to jeszcze jedno pytanie: jeśli wszystko mogłoby się przytrafić to, co chciałbyś najbardziej, żeby Ci się przydarzyło?

W tamtych dniach gdy byłem młody, to najbardziej chyba ucieszyłbym się z ciągłego strumienia miłych dziewcząt pod drzwiami.

CHARLES WOODRUFFE – urodził się w 1951 roku w Wielkiej Brytanii. Jest psychologiem. Po wielu latach na uczelni londyńskiej, gdzie prowadził badania i zajęcia ze studentami, założył własną firmę doradczą

KIEDYŚ MŁODZIEŻ BYŁA BARDZIEJ SPOKOJNA



Barbara Kopec w rozmowie z Tomaszem Kinowskim i Tymoteuszem Kopciem

„Miałam niecałe pięć lat, gdy wybuchła wojna, a zakończyła się, gdy miałam dziesięć. Nie zdawałam sobie sprawy, że jest wojna, więc zawsze była zabawa”

TyK: Babciu, co robisz w czasie wolnym teraz, a jak spędzałaś go kiedyś?

Z tym czasem wolnym było różnie. Teraz jestem emerytką i mam dużo wolnego czasu. Kiedy byłam młodą dziewczyną, to najważniejsza była

nauka, a kiedy wyszłam za mąż – praca i dzieci. W każdym okresie z tym wolnym czasem było różnie. W zasadzie prawie go nie miałam, bo zawsze było coś do zrobienia.

TyK: Czy masz jakieś zainteresowania, którym chętnie się oddawałaś i nadal oddajesz w czasie wolnym?

Kiedyś bardzo zajmowały mnie robótki na drutach. Całe wolne chwile spędzałam robiąc sukienki i sweterki dla siebie, dla koleżanek i dla synów, chociaż nie zawsze wychodziły. Dużo również czytałam. Interesowała mnie także muzyka taka, jaka była w tamtych czasach. Rzadko chodziłam do teatru, do kina zdarzało mi się chodzić raz na miesiąc, ponieważ nie było na to czasu. Zresztą w moim okresie młodzieńczym kino było objazdowe. Do Płońska przyjeżdżało tylko od czasu do czasu i wtedy wyświetlano filmy. Później dopiero zbudowano kino na miejscu i filmy można było oglądać cały czas.

ToK: Kim chciała Pani zostać, gdy była Pani młoda?

Na początku nie miałam żadnych planów, nie wiedziałam, kim chcę być. Dopiero pod koniec szkoły licealnej, przed maturą, zaczęłam się nad tym zastanawiać. Postanowiłam zdawać do szkół medycznych, ponieważ zawsze interesowała mnie medycyna. Najpierw do technikum dentystycznego w Łodzi, do którego się nie dostałam, a później do szkoły laborantów medycznych w Gdańsku, do której dostałam się dopiero za trzecim podejściem. W wakacje tego samego roku dowiedziałam się, że także w Warszawie jest taka szkoła i tak się złożyło, że

wszystkie trzy – ja i dwie moje koleżanki z Płońska – dostałyśmy się do niej. Nie było w niej akademika, ani bursy, więc gdybym nie miała ciotki, która mnie przyjęła w Warszawie i pozwoliła u siebie zamieszkać, to musiałabym zrezygnować, ponieważ warunki nie pozwalały mi na wynajem mieszkania. Na szczęście wszystko dobrze się potoczyło – skończyłam tę szkołę. Wtedy był nakaz pracy, więc zaraz dostałam robotę w szpitalu MSW na ul. Wołoskiej. Tam przepracowałam dziesięć lat, później przeniosłam się do instytutu reumatologii.

TyK: Babciu, co sądzisz o rówieśnikach swoich wnuków?

Mam wnuków w różnym wieku. Tak, jak ludzie mają różne charaktery, tak i młodzież różni się między sobą: jedni są spokojniejsi, a drudzy bardziej urwisowaci.

Jednak nie widzę powodu, by uważać, że młodzież dzisiaj jest zła. Zdarza się, że nie ustępują mi miejsca w autobusie, pomimo że jestem wiekowa, ale dzieje się tak chyba dlatego, że po prostu telefony komórkowe są dziś tak bardzo popularne, każdy jest swoim pochłonięty i nie widzi, że starsza osoba wchodzi. Nie zdarzyło mi się jednak nic takiego, co sprawiłoby, że zraziłabym się mocno do młodych ludzi, ale wiem, że niektórzy bardzo krytycznie patrzą na współczesną młodzież.

TyK: Jak się zachowywała młodzież kiedyś?

Kiedyś młodzież była bardziej spokojna. Wtedy była tylko piłka, skakanki, radio, kino i spacer po

ogrodach oraz po parkach. Wyjeżdżałam też na obozy harcerskie. Z tego powodu zawsze było spokojnie, w tamtych czasach nie było chuliganów.

ToK: Czy podąża Pani za postępem? Dlaczego?

Raczej nie. Co ja mogę zrobić, jestem starą emerytką, nie pracuję. Nie chciałam się nauczyć, jak korzystać z komputera, ponieważ uważałam, że jest mi to już niepotrzebne. Korzystam jednak z telefonu i telewizji. Interesują mnie też roboty domowe takie jak pralki i miksery, ale bardziej zaawansowane technologicznie urządzenia to już nie na moje lata, kochany.

TyK: Babciu, jak wyglądała kiedyś szkoła? A co sądzisz dzisiejszej?

W moich czasach była zdecydowanie większa dyscyplina, np. co roku były

egzamininy do następnej klasy. Pewnego roku, w dziesiątej klasie nasza klasa poszła w maju na wagar z matematyki. Ja się bardzo z tym męczyłam. Wolałam nie iść, ale skoro cała klasa szła, to ja też poszłam. Na drugi dzień wstęp do szkoły był dla nas zamknięty. Trzeba było przyjść z rodzicami, żeby można było wrócić na lekcje. W liceum koniecznie musieliśmy nosić czapki. Podawany był termin, od którego trzeba było przychodzić w takiej czapce do szkoły i jeśli się jej nie miało, to też nie było się wpuszczanym do szkoły. Nie można było nosić kolczyków i pierścionków. Poza tym trzeba było nosić fartuszki albo białe bluzki, ale przeważnie jednak fartuchy. Dziewczyny nosiły normalne długie

fartuchy. Wymaganie noszenia fartuchów nie było tak samo egzekwowane od chłopców i od dziewczyn. Chłopcy czasami mogli ich nie nosić. Jednak moi synowie już też chodzili w fartuchach do szkoły. Były też kary, takie jak klęczenie przy ławkach z rękami w górze. W szkole podstawowej bito ręce linijką, a jak ktoś jeden zawinił i się nie przyznał, to cała klasa dostawała linijką. Kiedyś było bardziej rygorystyczne podejście. Teraz, z tego co słyszę, uczniowie mają własne prawa, które sprawiają, że nauczyciel nie bardzo może nawet na nich krzyknąć. Czasami oglądałam w telewizji, co uczniowie wyprawiają z nauczycielami. Był przykład starego nauczyciela, którego młodzież strasznie męczyła, upokarzała, kosz mu zakładała na głowę. Nie mówię, że tak jest w waszej szkole, ale to się jednak dziś zdarza. Za moich czasów było to nie do pomyślenia. Jak wchodził nauczyciel, cała klasa wstawiała i witała się. Był rygor i przestrzegaliśmy go.

ToK: Czy miała Pani jakąś dziwną albo ciekawą przygodę?

W wieku dwudziestu lat wskoczyłam do jadącego pociągu. Nie wiem, co mnie wtedy opętało, była zima, pociąg ruszył, a ja nie miałam biletu. Wskoczyłam, mój ojciec odprowadzał mnie na dworzec i miał dla mnie taką niewielką torbę. Złapałam ją, wskoczyłam i chwyciłam się poręczy na końcu jednego z wagonów. Miałam taki długi płaszcz, który ciągnął się za mną. Nogi wyciągnęłam w ten sposób, że usiadłam na stopniu. Zrobiłam to chyba dlatego, że skojarzyło mi się to ze wskakiwaniem do tramwaju w

Warszawie. Niestety zauważył to konduktor i zatrzymał pociąg. Miałam nieprzyjemności i kary. Trzęsłam się ze strachu tak, że ledwo dojechałam żywa do Warszawy. Byłam na siebie zła, że się na coś takiego odważyłam. Na szczęście wszystko dobrze się skończyło, jestem cała i zdrowa do dzisiejszego dnia. Takich przygód, jak ta w dzieciństwie, było dużo więcej, ale były o wiele mniej niebezpieczne. Raz wsadziłam nogę w szprychy i zdarłam pół pięty. Jednak jakiś poważniejszych przygód nie miałam, najpoważniejszy był ten skok do pociągu.

TyK: Babciu, czy masz jakąś przyjaciółkę, z którą znasz się już bardzo długo?

W szkole podstawowej i potem w liceum miałam przyjaciółkę Hanię Borgoń, do tej pory się przyjaźnimy. Moją inną przyjaciółką jest Lucyna. Znamy się z młodości z Płońska, razem szkołę kończyłyśmy i razem pisałyśmy maturę. Byłyśmy nierozłączne. Przyjaźnię się z nią już trzydzieści lat, mieszkamy blisko siebie. Oprócz tego mam Michalinę i Marylę, do tej pory się spotykamy w Łazienkach Królewskich i kawiarniach. Mam takie trzy, cztery przyjaciółki, z którymi znam się sześćdziesiąt lat. Z Lucyną trzydzieści, bo z Lucyną się później poznałam, a z Marylą i Haliną zaczęłam pracować od dwudziestego pierwszego roku życia, więc są to już bardzo długie znajomości.

ToK: Jakie były Pani ulubione przedmioty w szkole?

Najbardziej lubiłam biologię, polski, fizykę i

matematykę oraz chemię. Ścisłe przedmioty szły mi troszkę gorzej, chociaż fizyka i chemia jeszcze dobrze, ale matematykę w dziesiątej klasie troszkę zawałam. Opuściłam parę lekcji. Na początku zawsze miałam czwórkę, dopiero pod koniec tróję dostałam, ale najlepiej szła mi biologia. Zawsze miałam z niej piątkę.

ToK: A jakich przedmiotów Pani nie lubiła?

Historii – ponieważ daty trzeba było pamiętać – i geografii, bo w mapach się gubiłam. Kiedyś w szkole były takie duże mapy na stojakach. A w domu nawet atlasu nie miałam, ponieważ wtedy ciężko było o książki. Jakoś jednak przez tę geografję i historję brnęłam. Jednak najbardziej lubiłam biologję i polski.

TyK: Babciu, a powiedz nam, gdzie mieszkałaś przez swoje życie?

Najpierw mieszkałam na peryferiach Płońska, a tam było zupełnie jak na wsi. Były stawy, łąki, drzewa i ogrody. Bardzo miło wspominałam ten okres. Miałam niecałe pięć lat, gdy wybuchła wojna, a zakończyła się, gdy miałam dziesięć. Właśnie dlatego że mieszkałam na peryferiach Płońska, nie zdawałam sobie sprawy, że jest wojna, więc zawsze była zabawa. Dużo nas tam wtedy było w wieku dziecięcym, więc nie brakowało mi towarzysów zabaw. Później przeprowadziliśmy się na drugą stronę torów, gdzie też właściwie było tak samo, bo to było małe miasto. Znajdował się tam ogródeczek i ławeczka przed domem, więc można było sobie posiedzieć. Osiemnaście lat swojego życia przemieszkawałam w Płońsku. Potem przeniosłam się do Warszawy, do szkoły i tak już tu zostałam.

Gdy dostałam pracę w szpitalu MSW, to mieszkałam w bursie, która przysługiwała pracownikom szpitala. Mieszkałyśmy tam po dwie w pokojach. Potem wyszłam za mąż. Mąż miał mieszkanie, w którym zamieszkaliśmy razem. Mieszkam w nim do dziś.

BARBARA KOPEĆ – ur. 1935, pochodzi z Płońska, gdzie chodziła do szkoły. Studiowała w szkole laborantów medycznych w Warszawie. W latach 1956 – 1966 pracowała w laboratorium analitycznym przy ul. Wołowskiej, następnie w instytucie reumatologicznym, w zakładzie patofizjologicznym (1966 – 1992), znów w laboratorium analitycznym przy ul. Wołowskiej (1992 – 1998), a ostatnio w laboratorium naukowym przy ul. Szaserów (1998 – 2005)

NA CZYM ZNAJĄ SIĘ KOBIECY...



Elżbieta Idzikowska w rozmowie z Gabriellą Jastrzębską i Marianną Klimczak

„Studiowałam teorię ekonomii i specjalizowałam się w stosunkach międzynarodowych. Później nastąpiły różne zmiany w kraju i trzeba było coś robić – stąd ten sklep”

GJ: Jakie dostrzega Pani główne różnice pomiędzy Pani życiem kiedyś a teraz?

Przede wszystkim jest to mój wiek, ale bardzo zmieniły się także czasy, w jakich żyłam dawniej i żyję obecnie. Moja młodość upłynęła w skrajnie

różnych warunkach od tych, w jakich teraz upływa Wasza. Na pewno żyje się teraz wygodniej, jest pełen dostęp do wszystkiego. Jak ja byłam młoda, to w sklepie towar „zdobywałam”, Wy go kupujecie.

MK: A co myśli Pani o dzieciach i nastolatkach? Czy za Pani czasów zachowywały się lepiej czy gorzej?

Lepiej.

MK: Dlaczego?

Przede wszystkim mieliśmy większą pokorę wobec życia. Mieliśmy też autorytety, których słuchaliśmy, takie jak: rodzice, nauczyciele czy nawet Kościół. Niestety w obecnych czasach jest pełen dostęp do Internetu, „wyścig szczurów” oraz presja środowiska. Wam dano wszystko w bardzo szybkim tempie i nie byliście na to przygotowani.

GJ: Co dokładnie ma Pani na myśli, mówiąc o „wyścigu szczurów” i presji środowiska?

My byliśmy inaczej wychowywani. Po prostu było biedniej, mniej tego wszystkiego. Wasze życie zaś i stosunek do niego jest roszczeniowy. Tak jakby Wam się wszystko należało. Macie to dostać i koniec. W moim pokoleniu tak nie było. Nawet jeśli jakaś koleżanka coś miała, to miała – ja nie musiałam tego od razu mieć. A teraz jest tak, że jak ktoś coś ma, to ja też to muszę mieć. To jest ta presja środowiska. Wyścig szczurów to znaczy, że „ja muszę mieć najlepiej, najwięcej”.

MK: A czy uważa Pani, że system edukacji bardzo się zmienił od Pani czasów?

Mam akurat synową nauczycielkę i kiedy słucham tego, co mówi o swojej pracy, to wydaje mi się, że my mieliśmy więcej nauki od Was, mało tego, dostęp do wiedzy, do książek, był utrudniony. Żeby się czegoś dowiedzieć, zdobyć jakieś informacje, musiałam pójść do biblioteki, usiąść, poczekać na książkę, przeczytać ją w ciszy. Dzisiaj siadacie przed komputerem, klikacie „Enter” i gotowe. Mam zresztą własną skalę porównawczą tych zmian: pamiętam, co ja miałam w szkole, pamiętam, co moje dziecko miało w szkole i widzę, co mój wnuk ma teraz w szkole.

MK: Który system uważa Pani za lepszy: gimnazjalny, czy ten z ośmioma klasami?

Chyba ten ośmioklasowy był lepszy, przynajmniej było więcej zawieranych przyjaźni, bo jednak osiem lat spędzanych razem wpływało na nawiązywanie się kontaktów. Wy uczycie się razem w krótkich odstępach czasu i w zasadzie nie macie kiedy się dobrze poznać. Mnie mój system odpowiadał. Osiem lat byłam w jednej szkole ze znajomymi. Potem szło się na cztery lata do liceum, a potem na studia.

GJ: Wspomniała Pani o przyjaźniach. Czy ma Pani kontakt z kimś z czasów młodości?

Pewnie. Jedną przyjaciółkę mam od pierwszej klasy szkoły podstawowej. Znamy się już pięćdziesiąt parę lat. Dłuższy mam z nią staż niż z mężem. A drugą mam z liceum, z pierwszej klasy. Miałam też przyjaciółkę ze studiów, ale niestety

nie żyje. Mam też mnóstwo różnych innych znajomych.

MK: Gdzie się Pani uczyła, studiowała?

Podstawówka to była ta w Ogrodzie Saskim im. Marii Konopnickiej, potem liceum Reja na Królewskiej, a później było SGPiS, obecne SGH, czyli Szkoła Główna Handlowa na Mokotowie.

MK: Czyli ekonomia?

Tak, teoria ekonomii, z tym, że w zasadzie specjalizowałam się w stosunkach międzynarodowych, szczególnie interesowały mnie Indie.

GJ: Czy planowała Pani wybrać właśnie ten kierunek studiów czy był to w jakiejś mierze przypadek? I czy gdyby mogła Pani wybrać teraz coś innego, zostałaby Pani przy swoim wyborze?

Chyba tak, bo ekonomia dawała duże możliwości, można było po niej pracować wszędzie. Ale gdybym wtedy mogła studiować równolegle drugi fakultet, to poszłabym na fotografię.

GJ: Zatem interesuje Panią także fotografia?

Tak, bardzo lubię fotografię, a oprócz tego również geografię.

GJ: Czy od początku pracowała Pani w tym sklepie?

Nie. Po studiach zaczęłam pracować w centrali targu zagranicznego Hortex Polska. Niestety już nie istnieje. Potem założyłam własną firmę, też

eksportującą towary za granicę. Później nastąpiły różne zmiany w kraju i trzeba było coś robić. A na czym znają się kobiety? Na bieliznie! Postanowiłam więc otworzyć sklep z bielizną i pracuję w nim do dziś.

MK: A czy dawniej, w czasach podstawówki, miała Pani jakąś wizję tego, co chciałaby Pani robić, jaki zawód wykonywać?

W podstawówce jeszcze nie ma się chyba określonych zamiarów. Dopiero w liceum, i to dopiero pod koniec, człowiek zaczyna myśleć, gdzie by bardziej pasował, co chciałby robić, do czego będzie się nadawać.

GJ: A co sądzi Pani o wychowaniu dzieci: czy nastąpiły znaczne zmiany od czasów Pani młodości, to znaczy, od czasów gdy Panią wychowywali Pani rodzice?

Hm, może wtedy mamy miały dla dzieci trochę więcej czasu niż mają go obecnie... Może też większy niż obecnie nacisk kładziono na to, by nauczyć dzieci: po pierwsze dobroci, po drugie miłości i po trzecie uczciwości. To były takie główne wartości, które przekazywała mi moja Mama, bo i ją tak wychowano, a ja też chciałam je potem przekazać swoim dzieciom.

MK: Wspomniała Pani o tym, że ma Pani wnuka. Czy zauważa Pani jakieś znaczące różnice w wychowywaniu go przez Pani syna?

Nie, nie. mój syn trzyma ich – bo ma dwóch chłopaków – żelazną rączką! Widzę, że on też powielił to, co wyniósł z domu. To jednak prawda, że „czym skorupka za młodu nasiąknie, tym na starość trąci”.

GJ: Przechodząc już do innego tematu, proszę powiedzieć, jak traktowano kobiety za Pani czasów? Czy coś się zmieniło w tym względzie, jakie widzi Pani różnice?

Tak, zmieniło się. Dawniej traktowano kobiety z większym szacunkiem. Nie wyobrażam sobie, żeby mój kolega, idąc ulicą i rozmawiając ze mną, używał niecenzuralnych słów. Owszem, gdy byli w swoim towarzystwie lub grali w piłkę, to używali sobie. Natomiast gdyby chłopak odezwał się do mnie brzydkim słowem, tak jak się to teraz słyszy, to tak dostałby „przez łeb”, że od razu by się tego oduczył. Mało tego, wy, dziewczyny, sobie na to pozwalacie. Nie mówię, że wszystkie takie są, ale generalnie młode dziewczyny pozwalają sobie na to, aby chłopcy się przy nich odzywali w ten sposób. To jest nie do pomyślenia! Mój mąż czy mój syn nie mogą się tak do mnie odezwać. Kiedyś przyszła tutaj mama z chłopcem, dziesięcio-, jedenastoletnim. On, patrząc mi głęboko w oczy, a zwracając się do swojej mamy, mówi (tylko ostrzegam, że użyję teraz brzydkiego słowa): „Przecież ja Ci, kurwa, mówiłem, że nie będę tego nosił”. Reakcja mamy była taka, że się do niego słodko uśmiechnęła. Nie do pomyślenia, żeby mój wnuk tak się odezwał! Przecież on przez tydzień nie usiadłby na tyłku. Zapamiętałby sobie, że to mocno boli. Nie wolno czegoś takiego akceptować.

MK: A co sądzi Pani o tym, gdy ktoś zwraca się właśnie w taki sposób do osób innej narodowości, innego koloru skóry, czy też innej orientacji?

A cóż oni są winni, że mają np. inny kolor skóry?

GJ: Właśnie, nasze pokolenie od początku uczone jest tolerancji wobec wszystkich.

Inaczej: akceptacji. Jest duża różnica między akceptacją, a tolerancją. Bo my akceptujemy inną wiarę, inny kolor skóry, inną orientację. Tolerancja powinna mieć granice, bo w tolerancji również występuje zło. Jeżeli my jesteśmy tolerancyjni, to znaczy, że akceptujemy i dobro, i zło. A tak nie powinno być. Bo jeżeli ja mam sąsiada, który ma inną orientację, to mi on nie przeszkadza, niech on ją sobie ma, to jest jego problem, a nie mój. Ja go akceptuję. Powiem mu: „Dzień dobry”, spytam, jak się czuje, jaka jest pogoda, i to, i tamto. Ale gdyby on mi w sobotę o szóstej rano zaczął puszczać Gwiezdne wojny, to bym mu dogryzła. Nie dlatego, że jest innej orientacji, tylko dlatego, że zachowuje się jak cham.

MK: Czyli to, że ktoś ma inną orientację, nie zmienia Pani sposobu patrzenia na daną osobę?

Nie. Jeżeli dany człowiek jest kulturalny, miły, sympatyczny, to dlaczego miałoby mi to przeszkadzać?

GJ: Wracając do tematu dzieci: w coraz młodszych wieku sięgają one po używki, alkohol i tego typu rzeczy. Niekiedy już dzieci w podstawówce zaczynają imprezować. Czy Pani to akceptuje?

Nie, nie akceptuję tego. Ale to jest właśnie przejaw presji środowiska. Rodzice są zaganiani, bo pracują i nie mają czasu pilnować dzieci. Ja miałam mamę w domu. Musiałam mówić, gdzie

wychodzę, na jak długo, o której wrócę itd. Gdy przychodzi mi dziesięć lat i mówi, że jest dorosły, bo on ma już te dziesięć lat, to ja pytam:

„Żeby się czegoś dowiedzieć, musiałam pójść do biblioteki, poczekać na książkę, przeczytać ją w ciszy”

na czym ta jego dorosłość polega? Na tym, że p y s k u j e ? Chyba tylko na tym. Dla mnie człowiek dorosły to taki, który się sam utrzyma, który będzie pracował, zarabiał, sam o sobie stanął. A gdy jesteś na talerzyku u mamusi, to nie jesteś dorosły. I masz się jej podporządkować pod pewnymi względami. Nie chcę przez to powiedzieć, że dorośli mają zawsze rację, nie... Ja też uczę się od dzieci, ale generalnie my już trochę przeżyliśmy w życiu i trochę więcej o nim wiemy. To jest tak jak w tym powiedzeniu: „»Nie rusz, Andziu, tego kwiatka, róża kole« – rzekła matka. Andzia mamy nie słuchała, ukłuła się i płakała”.

MK: A co Pani sądzi na temat technologii i tego, że zmienia się ona w zasadzie co pokolenie? Cały czas pojawia się coś nowego, bez czego ludzie nie potrafią żyć.

Technologia jest dobra. Dzięki niej medycyna także posunęła się do przodu, ludzie mają dziś większe szanse pokonania różnych chorób, przeżycia.

Sam Internet zaś – w osiemdziesięciu procentach jest dobry, ale niesie też ze sobą zagrożenia.

GJ: Np. to, że dzieci spędzają bardzo dużo czasu przy urządzeniach elektronicznych?

A to już wina rodziców.

MK: Ma Pani na myśli ich nieobecność w domu?

Po pierwsze to, że nie ma ich w domu, a po drugie to, że jak dziecko siedzi przed komputerem, to głowy nie zawraca, nie rozrabia i to jest dla rodziców wygodne. Bo inaczej, to trzeba się nim zająć.

Pamiętam, jak moje dziecko było małe, gdy nadchodził koniec roku i Sylwester, wtedy w telewizji był emitowany blok poświęcony Walt'owi Disney'owi. Dziecko siadało przed telewizorem i był święty, anielski spokój, ale taki to był tylko jeden dzień w roku. A teraz dzieciom puszcza się bajki przez cały czas, są kanały, gdzie lecą tylko filmy dla dzieci.

Skutek jest później taki, że młoda dama pisze do mnie sms'a: „Przepraszam, spóźnię się, będę we ftorek.” – wtorek przez „f”, a dziewczyna ma już osiemnaście lat. Telefon nie poprawił jej błędu. To jest właśnie skutek nieczytania książek. Gdy się czyta, to się zapamiętuje, jak coś powinno być zapisane. A gdy pisze się jedynie sms'y albo maile, to używa się tylko takich monosylab jak np.: „ok będę”. Nic dziwnego, że gdy młodemu człowiekowi przyjdzie potem powiedzieć pełne zdanie, to ma z tym duże problemy.

GJ: Czy lubiła Pani czytać książki również w młodszym wieku?

Tak, i zostało mi to do dzisiaj.

MK: A ma Pani jakąś ulubioną książkę, którą mogłaby Pani polecić?

Oj, sporo tego jest. Bardzo lubię kryminały, bo się przy nich odprężam. Lubię też książki przyrodnicze. Z klasyki bardzo lubię Żeromskiego. Żeromski pisze długimi zdaniami i to jest w moim stylu. Poza tym lubię książki dla

dzieci. Wróciłam do nich, siłą rzeczy, przy wnukach. Bajki Grimma... Na starość

„Dawniej traktowano kobiety z większym szacunkiem”

się dziecinnieje, nie da się ukryć. Ale czytam też sporo książek współczesnych, Grocholę bardzo lubię. A, Chmielewska! To była klasyka. Jej książki – ładnie napisane, z sensem i dowcipne, można się było uśmieć. Polecam, tylko raczej jej pierwsze książki, późniejsze już mi się tak nie podobały. Ale pierwsze książki Chmielewskiej – cymes!

GJ: W jaki sposób spędzała Pani czas ze znajomymi w przeszłości?

Nie jeździło się tak za granicę jak obecnie. Nie było możliwości. Trzeba było mieć paszporty, a to nie było takie proste. Generalnie spędzaliśmy czas na działkach, w wakacje zawsze jeździło się nad morze, a w ciągu roku przeważnie spotykaliśmy się w domach. Nie było klubów, do restauracji też chodziło się rzadko, bo po prostu nie było nas na to stać.

MK: Pamięta Pani jakieś typowe zabawy z przeszłości, gdy była Pani nastolatką?

Prywatki. Teraz nazywacie je domówkami, ale kiedyś to były prywatki. Puszczało się muzykę z adaptera, albo z magnetofonu i się tańczyło.

Gdy szło się do kina, to niestety trzeba było długo stać w kolejce po bilet. A na dobry film, kochane,

to ja stałam cztery godziny w kolejce. Do opery nieraz kupowało się bilet dwa, trzy miesiące wcześniej. Do filharmonii też ciężko było się dostać. Nie było łatwo, nie zamawialiśmy biletów w Internecie.

GJ: A czy pamięta Pani jakąś zabawną historię z przeszłości?

Kiedyś w Paryżu, gdy wchodziłam na wieżę Eiffel'a i szłam z siostrą, przechodził obok nas człowiek, był piękny i młody. Rozmawialiśmy po polsku. Chłopak raz po raz się odwraca i patrzy. Powiedziałam do siostry: „A nie dosyć, że włożył taki czerwony golfik, to jeszcze podsłuchuje” – po polsku. Tylko do głowy mi nie przyszło, że to też może być Polak, a był.

Kiedyś w Londynie byłam w hinduskiej restauracji. Po jakimś czasie podszedł kelner i mówi, że cała restauracja zastanawia się, w jakim mówimy języku. Wtedy było mało Polaków w Anglii i ja do niego mówię: „Słuchaj, po polsku rozmawiamy, bo jesteśmy z Polski, ale żeby było fajniej, to Ci jeszcze powiem, że jestem magistrem ekonomii, który zajmuje się gospodarką Indii”. Słuchajcie! Czułam się jak królowa! Otwierał drzwi, kłaniał się, moje dziecko mogło w tej knajpie robić, co tylko chciało.

Miałam trochę takich historii. Oj, można by snuć je jeszcze długo.

MK: Na koniec chciałybyśmy się spytać, co sądzi Pani o teraźniejszej polityce?

Młodość spędziłam mając oddech komuny na plecach. Próbowałam walczyć w Solidarności, udało się. A co do naszych obecnych rządów,

wolałabym się nie wypowiadać. Chciałabym ten sklep jeszcze w spokoju przez kilka lat poprowadzić. Uważam, że politycy powinni być wykształceni, powinni być ekonomistami, ludźmi, którzy posiadają jakiś majątek (żeby nie kraść), ludźmi z doświadczeniem i na pewno nie takimi, którzy twierdzą, że wzorują się na polityce Goebbelsa.

ELŻBIETA IDZIKOWSKA – sprzedawczyni w sklepie z bielizną na Powiślu. Ukończyła SGH. Z zawodu jest ekonomistą. Pracowała w firmach eksportujących towary, założyła również własną firmę. Interesuje się fotografią i geografią. W wolnym czasie czyta i spędza czas z wnukami

LUBIĘ PATRZEĆ, JAK SIĘ ROZWIJACIE



Jacek Bąk w rozmowie z Zofią Marczuk, Julią Sawicką i Laurą Witek

„Już zapuściłem korzenie w tej szkole i to bardzo głęboko. I nie wiem, czy ktokolwiek byłby w stanie mnie stąd wyrwać”

JS: Chciałybyśmy zadać Panu kilka pytań dotyczących Pana życia oraz doświadczenia.

Z miłą chęcią odpowiem na pytania.

JS: Dlaczego wybrał Pan akurat zawód nauczyciela?

Jest z tym związana pewna historia. Dwadzieścia

siedem lat temu pracowałem w Lidze Ochrony Przyrody. Z upływem czasu praca tam stawała się dla mnie coraz trudniejsza i bardzo chciałem ją zmienić. Chodziłem na wiele różnych spotkań. Na jednym z nich dowiedziałem się, że w Polsce funkcjonuje coś takiego jak Społeczne Towarzystwo Oświatowe i że w Warszawie odbędzie się jego zebranie. Udałem się na nie. Pojawiła się na nim możliwość pracy w szkole, więc zostawiłem tam swoje zamiary. Po jakimś czasie odezwał się do mnie Aureliusz Leżeński. Zakładał on wtedy liceum, które przybrało numer „dwa” i właśnie w ten sposób rozstrzygnęło się, gdzie będę pracował.

ZM: Zatem nie pracował Pan w żadnej innej szkole poza naszą?

Nie, od początku pracowałem w naszym zespole szkół.

ZM: Jest Pan zadowolony z tego, że zmienił Pan wtedy pracę?

Tak, jestem na tyle zadowolony, że już zapuściłem tu korzenie i to bardzo głęboko. I nie wiem, czy ktokolwiek byłby w stanie mnie stąd wyrwać.

LW: Pana lekcje wyróżniają się spośród innych. Czy specjalnie je Pan tak prowadzi, aby umilić nam czas nauki?

To przyszło z czasem, ale chyba dość szybko. Ten sposób prowadzenia lekcji związany jest ze skracaniem dystansu i przelamywaniem granic, z próbą pokazania, że nie trzeba wszystkiego brać tak całkiem na poważnie. Historia, wbrew temu, jakby się mogło wydawać, nie jest przedmiotem

tak bardzo poważnym, a za to bardzo ciekawym. Zawsze wydawało mi się ważne, żebyśmy, poznając ją, wspólnie myśleli. A czy to nam się uda, to już w dużej mierze zależy także od was, od tego, czy to, o czym mówię, poczujecie czy też wasze wnioski będą zupełnie inne.

ZM: Czy, prowadząc lekcje, inspiruje się Pan kimś, np. jakimś Pana nauczycielem?

Nie. W liceum miałem nauczycielkę, która zupełnie inaczej prowadziła lekcje. Była poważną nauczycielką, ale ważne było to, że uczyła nas myśleć historycznie. I ja też próbuję was tego nauczyć. Nie wiem, czy to dostrzegacie, czy tylko mi się tak wydaje.

JS: Lubi Pan współpracować z młodzieżą?

Uwielbiam! Jednak chyba najbardziej lubię patrzeć, jak się rozwijacie.

LW: Gdyby miał Pan porównać siebie w naszym wieku do nas, to dużo różnic by Pan wymienił?

Myślę, że bardzo, bardzo dużo.

LW: Ale pod względem stosunku do uczenia się, czy w sposobie, jacy jesteście?

Przede wszystkim nie bardzo pamiętam, jak to wszystko funkcjonowało, kiedy miałem czternaście lat. Klasy były dużo większe, choć w niektórych szkołach do tej pory takie są. Młodzież wtedy była na innym stopniu rozwoju. Nie mieliśmy tego, co wy macie, a co powoduje, że macie też zupełnie inny stosunek do świata i przez co całkiem inaczej funkcjonujecie. Moja młodość i wasza to są dwa różne światy, w ogóle nie do

porównania. W obydwu niezmienna jest potrzeba miłości, bezpieczeństwa, zaufania, jednak całe pozostałe otoczenie jest zupełnie inne.

JS: Czy to prawda, że uczył Pan kiedyś pana Zbyszka Struckiego?

Prawda, w gimnazjum i liceum.

LW: Jakim był uczniem?

Chyba nie dostał żadnych kamczatek, w każdym razie nie na moich lekcjach. Był zaangażowany i ambitny, ale jednocześnie miał też swoją ścieżkę i pilnował się jej, nie pozwalał się ograniczać i myśle, że coś mu z tego pozostało jako nauczycielowi: taka samodzielność i chęć

wytyczania

„Moja młodość i wasza to są dwa różne światy, w ogóle nie do porównania”

s o b i e

s a m e m u

granic. Był

ambitny,

aktywny,

chętny do pokazania swoich zdolności, teraz to rozwija jako nauczyciel, aczkolwiek wydaje mi się, że trochę zapomniał o tym, jak to jest być uczniem. Ale nie ma się co dziwić. Przeszedł, że się tak wyrażę, na tę drugą, ciemną stronę mocy. Trudno być jednocześnie po obu stronach.

ZM: Czy myślał Pan kiedyś, żeby kolejny raz zmienić pracę i przestać być nauczycielem?

Myślałem o tym. Miałem okresy załamania i niechęci, ale były to tylko myśli, które nigdy nie doszły do skutku i bardzo się z tego cieszę.

LW: Jakie są Pana zainteresowania poza historią, czyli przedmiotem, którego Pan uczy?

Bardzo lubię kino, może dlatego, że od dzieciństwa mama zabierała mnie do kina. Potem pojawiła się telewizja, którą też bardzo lubię i często oglądam, teraz szczególnie bardzo dużo seriali. Od dzieciństwa moim zainteresowaniem są również książki. Od liceum lubię też słuchać muzyki. Wyewoluowałem przez rocka i jazz do muzyki klasycznej, ale słucham bardzo dużo różnych gatunków. Najmniej chyba hip hop'u i ostrzejszych wersji rocka.

ZM: Czy od zawsze interesowała Pana historia?

To jest trudne pytanie, ponieważ mając osiemnaście lat, nie wiedziałem, co chcę studiować i robić, więc po prostu wybrałem te same studia, co mój przyjaciel.

ZM: Czyli poszedł Pan z przyjacielem na studia?

Tak. Tak to właściwie było.

ZM: Czy wie Pan, co teraz robi Pana przyjaciel?

Dawno temu straciłem z nim kontakt, nasza przyjaźń się skończyła. Podobno żyje on teraz gdzieś w Irlandii. Kilka lat temu słyszałem, że jest ciężko pracującym taksówkarzem w Dublinie. Czy nadal nim jest, nie mam pojęcia.

LW: Chciałabym Panu zadać nieco bardziej prywatne pytanie: w jakim wieku miał Pan pierwszą dziewczynę?

Jedna dziewczyna bardzo mi się podobała, kiedy byłem w ósmej klasie. Myślę, że można powiedzieć, że byłem w niej zakochany, ale, oczywiście, jej o tym nie powiedziałem.

„Mając osiemnaście lat, nie wiedziałem, co chcę studiować i robić, więc po prostu wybrałem te same studia, co mój przyjaciel”

P o l a t a c h

spotkaliśmy się na studiach, tak towarzysko. Pijąc wino, rozmawialiśmy o szkolnych czasach i przyznałem się jej, że mi się wtedy podobała, a ona odparła, że szkoda, że jej tego wcześniej nie powiedziałem, bo ona czekała wtedy na jakiegoś chłopaka. A tak już na poważnie pierwszą dziewczynę miałem w czwartej klasie licealnej, czyli mieliśmy wtedy po osiemnaście lat.

JS: Czy lubi Pan podróżować?

Tak, lubię podróżować i od jakiegoś czasu podróżuję wraz z rodziną i przyjaciółmi wakacyjnie w różne miłe miejsca Europy, ale lubię też podróżować po naszej kolorowej ojczyźnie.

JS: Jak te podróże zazwyczaj wyglądają?

Zawsze dzielą się na część wypoczynkową i zwiedzającą.

ZM: Woli Pan podróżować po Polsce czy raczej po innych krajach?

Lubię jeździć tu i tu, w obie strony. Mam taki skryty kompleks, że za mało znam Polskę, bo jakoś nie za bardzo miałem wcześniej możliwość, żeby ją zobaczyć, dlatego teraz staram się te braki nadrabiać.

JS: A jaką podróż wspomina Pan najlepiej?

Niesłychane były wakacje na Sardynii, bo jest to niezwykła wyspa, są tam pozostałości po kulturze, której początki nie zostały do dziś do końca rozszyfrowane. Ekscytujące były również grobowce rozsiane po całej Sardynii. Cała wyspa jest różnorodna i bardzo ciekawa.

ZM: A kiedy Pan gdzieś wyjeżdża, to w związku ze swoim wykształceniem, czyta Pan o danym miejscu i jego historii?

Troszeczkę. Zgłębiam informacje z przewodnika i łączę je z tym, co pamiętam czy skądinąd wiem, i na tej podstawie mogę potem snuć różne opowieści, których moja żona i przyjaciółki chętnie słuchają. Wtedy się trochę puszę i staję się dumnym historykiem-przewodnikiem.

Jak Pan odbiera upływ czasu, czy zmienił się on z wiekiem?

Mam wrażenie, że płynie on szybciej. To, że wszystko staje się monotonne powoduje, że czas gna. Mam wrażenie, że kiedyś wszystko wydawało się dużo dłuższe, toczyło się dużo wolniej, przyjemniej.

JS: Bardzo dziękujemy Panu zatem za rozmowę i czas nam poświęcony.

Ja również bardzo dziękuję.

JACEK BĄK – nauczyciel historii w „Dwójce”. Ma rękę do nauki oraz współpracy. Młodzież lubi mieć z nim lekcje, bo są ciekawe i motywujące. Ma także życie pozaszkolne, wtedy lubi rozwijać swoje inne umiejętności oraz zainteresowania. Z pewnością godny podziwu, czerpiący radość z życia, człowiek z wielką przyszłością, jak i przeszłością

CHCIAŁEM ZOSTAĆ ŚMIECIARZEM



Marek Borowski w rozmowie z Janem Borowskim i Konstantym Radziwiłłem

„Życie można ciekawie przeżywać na każdym etapie i w każdym wieku”

KR: Czy kiedy był Pan dzieckiem interesował się Pan polityką?

Kiedy byłem bardzo małym dzieckiem, to oczywiście polityką się nie interesowałem, ale to co się dzieje na świecie zaczęło mnie interesować stosunkowo wcześnie. Za moich czasów nie było gimnazjów, tylko były szkoły podstawowe i licea. Było siedem klas podstawówki i pięć liceum.

Więc, jak już byłem w pierwszej klasie liceum (to jest mniej więcej druga klasa gimnazjum), to już się polityką bardzo interesowałem, czytałem dużo o tym, co się dzieje na świecie i w Polsce.

JB: Dziadku, kim wtedy chciałeś zostać?

Zaczął się od dość śmiesznego pomysłu. Mianowicie chciałem zostać pracownikiem Zakładu Oczyszczania Miasta, czyli po prostu śmieciarzem, ponieważ w owym czasie Zakład ten miał ogromne samochody, które wiele się nie różniły od dzisiejszych. Zbierały śmieci, ale co najważniejsze śmieciarze jeździli na stopniach tych samochodów i to mi strasznie imponowało. (Zresztą podobnie w owym czasie tramwaje nie miały tak jak dzisiaj drzwi zamykanych automatycznie, w których nie ma żadnego miejsca na zewnątrz, aby nogi postawić. Ówczesne tramwaje miały drzwi zasuwane albo w ogóle ich nie było i miały takie stopnie, jak te, którymi wchodzi się do samolotu. Lekko wisiały nad ziemią w związku z tym jeżdżenie na stopniach było najwyższą przyjemnością). Ale ta fascynacja przeszła mi po pewnym czasie i później chciałem być dziennikarzem, bo moi rodzice nimi byli i to mnie wciągało. Jak miałem czas – pisałem. Właściwie tym dziennikarzem bardzo długo chciałem być. Praktycznie do czasów studiów. Skończyłem kierunek ekonomiczny na dzisiejszej Szkole Głównej Handlowej. Na uczelni prowadziłem gazetkę uczelnianą; większość artykułów pisałem sam. Po studiach pisałem do gazet artykuły o tematyce ekonomicznej, a także setki felietonów. Jednak zdecydowałem się uprawiać zawód, którego się wyuczyłem. To jest dla mnie najbardziej interesujące.

KR: Czy miał Pan jakieś hobby, zainteresowanie, z którym wiązał Pan przyszłość?

Hobby miałem, ale może przyszłości z tym bym nie wiązał, bo to było typowe hobby – raczej do zabawy. Dzisiaj tego już się nie robi, mianowicie zbierałem znaczki pocztowe, monety i pocztówki, które przesyłano mi z różnych krajów. Chodziło mi o piękne obrazki. Próbowiałem zainteresować znaczkami moich wnuków, w tym tu jednego obecnego i dwóch młodszych, ale jakoś nie wyszło. Chociaż ostatnio jeden z nich jakieś zainteresowanie przejawiał. Generalnie filatelistyka już mało kogo pasjonuje. Interesowały mnie zawsze gry umysłowe, logiczne. Zaczynałem od szachów, warcabów i innych tego typu gier. Teraz oczywiście są gry komputerowe i wiele innych jak scrabble. Tego wtedy nie było. Poza tym uprawiałem gry i zabawy podwórkowe. To też jest osobny temat, bo dzisiaj bardzo trudno znaleźć klasyczne podwórko, na którym dzieci mogą się bawić. Z reguły to są bloki, chyba że ktoś mieszka w willi, ale to sam tam wtedy jest. Natomiast za moich czasów bloki były tak budowane, że miały wewnątrz podwórka i tam wszystkie dzieciaki z okolicy wychodziły, w związku z czym myśmy mieli stały kontakt ze sobą. Wtedy grało się w różne gry, jak np. pikuty, hacele, gazdę oraz w cymbergaja.

JB: Dziadku, czy uważasz, że dzieci powinny interesować się polityką? Jeśli tak to dlaczego?

Wszystko zależy od wieku. Oczywiście, na to

żeby brać udział w wydarzeniach politycznych np. demonstracjach czy manifestacjach, to z tym należy poczekać. Wydaje mi się, że od wieku licealnego można próbować. Interesowanie się polityką, moim zdaniem, polega na tym, że zaczynamy interesować się tym, jak funkcjonuje państwo. Jak to się dzieje, że to wszystko działa

albo nie działa, jak są wybierane władze w Polsce, co one mogą, a czego nie? Na czym polega prawo, jak to

„Lubiłem się uczyć tego, co lubiłem”

prawo się ustanawia, czy ono nam się podoba, czy nie? Co trzeba zrobić, żeby to prawo zmienić? Zachęcam do tego, żeby pod koniec podstawówki lub na początku gimnazjum już zacząć interesować się polityką.

KR: Co myśli Pan o dzisiejszej młodzieży, porównując ją do siebie i swoich kolegów z młodszych lat?

Starsi mają to do siebie, że zawsze uważają, iż jak oni byli młodzi, to byli lepsi. A ci, co są teraz, to są gorsi. To jest trochę mit. Staram się unikać takiego myślenia. Zdaję sobie sprawę, że świat jest inny, po prostu. Jak byłem w waszym wieku, to dopiero do Polski wchodziła telewizja. Mało kto w Polsce miał telewizor. Było bardzo mało telefonów, ale nie żadnych komórkowych tylko zwykłych, stacjonarnych. Może z 10% ludzi miało telefony, więc trzeba było zupełnie inaczej żyć, inaczej się porozumiewać. Jeżeli umówiłem się z kimś w mieście i nie mogłem przyjść, a on nie miał telefonu w domu, to był to poważny problem. Kończyło się tak, że ten ktoś czekał godzinę, a później siedł do domu. Gdzieś go musiałem potem spotkać wytłumaczyć się itd.

Dzisiaj to zupełnie inaczej wygląda, inaczej się spędza czas. Już nie mówiąc o komputerach, których oczywiście w ogóle nie było. Ale oczywiście można powiedzieć, że jeśli młody człowiek chce mieć towarzystwo, chce się spotykać z innymi młodymi ludźmi, ale przy tym robić z nimi coś pożytecznego, a nie tylko imprezować, to tacy młodzi ludzie byli i wtedy, i są teraz. Uważam, że każdy czas w historii jest inny, stawia zupełnie inne wyzwania i daje inne możliwości młodym ludziom. Nie widzę jakichś zasadniczych różnic między młodymi ludźmi wtedy i teraz. Podkreślam tylko, że inaczej spędzało się czas.

JB: Czy możesz, Dziadku, porównać szkołę dziś i wtedy? Co się zmieniło?

Hm... Myślę, że zasadnicza różnica jest taka, że klasy są mniej liczne. Ja chodziłem do klasy, w której było czterdzieści dwoje dzieci. Gdyby tak było teraz, to sytuacja nauczyciela byłaby znacznie trudniejsza. Powiedzmy sobie, że wtedy nas było czterdzieści osób w klasie, ale jeżeli któryś z uczniów nie bardzo chciał brać udział w lekcji, to kończyło się tym, że albo siedział i patrzył w sufit, co nie było groźne albo rozmawiał z kolegą czy z koleżanką, i to wszystko. Natomiast dzisiaj taki uczeń wyciąga telefon i w nim coś robi. Wyobraźcie sobie, co by się działo, gdyby było czterdzieści takich osób. Opanowanie tego chaosu przez nauczyciela byłoby bardzo trudne. Pod tym względem więc warunki są dziś lepsze niż wtedy. Natomiast jeśli chodzi o same lekcje, to nie wiem. Ja nie biorę udziału w

„Czytanie bardzo rozwija, wzbogaca słownictwo i poprawia ortografię”

dzisiejszych i bardzo trudno mi jest to porównać, ale myślę, że dzisiaj młodzież ma jednak więcej informacji, niż myśmy mieli. Do nas informacja docierała przede wszystkim poprzez książki, gazety lub przez telewizję, o ile ktoś miał

telewizor. Internetu, komputerów nie było. W związku z tym byliśmy zdani na nauczycieli i na to, co sami wyczytamy.

Dzisiaj wy wszyscy, jeśli

tylko chcecie, to możecie znaleźć właściwie każdą informację, „wygooglować” wszystko w dowolny sposób. W związku z tym sędzę, że na wielu przedmiotach – może nie na fizyce czy matematyce, ale na geografii czy historii lub polskim – możecie być bardziej aktywni, przynajmniej taką macie szansę. Poza tym myślę jednak, że nauczanie od czasów greckich się tak bardzo nie zmieniło. Jest nauczyciel, są uczniowie (tylko podręczników chyba wtedy nie mieli). Jeszcze może jedna zmiana: teraz są różne podręczniki np. do jednego przedmiotu w każdej klasie mogą być różne i nauczyciele sami je wybierają. Za moich czasów był jeden podręcznik do danego przedmiotu w całej Polsce. Dziś wielu nauczycieli uważa, że to było dobre.

KR: Czy lubił się Pan uczyć? Czy lubił Pan czytać?

Lubiłem się uczyć tego, co lubiłem. A jak nie lubiłem, to nie za bardzo... Czytałem natomiast bardzo dużo i zachęcam was do tego. Wiem, że jest masa innych rozrywek i czytacie najchętniej to, co wam koledzy napiszą na Facebooku albo na Gadu-Gadu. Widziałem parę waszych rozmów i

moim zdaniem nie jest to twórcze; naprawdę czasami trzeba się od tego oderwać, wziąć książkę, choćby kryminał. Czytanie bardzo rozwija, wzbogaca słownictwo i poprawia ortografię. Wracając natomiast do pytania o to, czego lubiłem się uczyć, moimi ulubionymi przedmiotami były: matematyka (byłem zresztą finalistą olimpiady matematycznej), język polski, historia i geografia. Właściwie łatwiej byłoby mi powiedzieć, za czym nie przepadałem: za chemią, chociaż miałem z niej czwórkę, za biologią, chociaż lubiłem anatomię człowieka, bo wydawała mi się przydatna, ale już nauki o roślinach czy owadach nie trawiłem. Fizyka była przedmiotem trudnym, ale zawsze chciałem być z niej dobry. Nie miałem niestety do tego zdolności i trochę żałuję, bo jednak fizyka to jest podstawowy przedmiot, który pozwala zrozumieć wszystkie procesy zachodzące w przyrodzie zarówno na Ziemi jak i w kosmosie. Lubiałem też wychowanie fizyczne, w ogóle sport. Nie wiem jak jest u was, ale dzisiaj, z tego co się dowiaduję, bardzo wielu uczniów unika lekcji wf-u. Załatwia sobie zwolnienia, czasami uczeń jest chory, innym razem nogę skręcił itp., itd. Muszę powiedzieć, że jestem tym zaskoczony; u nas to były najfajniejsze zajęcia i nikt z nich nie uciekał.

JB: Dziadku, czy pamiętasz jakąś ciekawą historię ze swojego dzieciństwa? Jeśli tak, czy mógłbyś nam ją opowiedzieć?

Historii to ja pamiętam dużo. Klasę mieliśmy dosyć niesforną, było sporo zdolnych uczniów,

którzy na dodatek mieli własne zdanie w różnych sprawach i demonstrowali to na różne sposoby. Z języków obcych w szkole uczyłem się rosyjskiego i niemieckiego, a poza szkołą francuskiego – bardzo chętnie się uczyłem. Otóż pani, która z nami prowadziła lekcje z języka niemieckiego, zalecała nam czytanie i przygotowywanie się z takiej gazetki, broszurki, którą kupowało się w kioskach. Nazywała się „Mozaika”. Była Mozaika niemiecka, angielska, francuska, rosyjska. Były to teksty w języku obcym, do tego był słowniczek. Czasami to były jakieś krótkie opowiadanka,

„Fizyka to podstawowy przedmiot, który pozwala zrozumieć wszystkie procesy zachodzące w przyrodzie”

czasami dowcipy, anegdota, w sumie było to ciekawe. Zadanie polegało na tym, żeby na lekcje każdy przygotował jeden tekst. Przygotować znaczyło: przeczytać

poprawnie i odpowiadać na pytania nauczycielki. Wpadliśmy na pomysł, że każdy z nas wykuje na pamięć jeden tekst i będzie go prezentował co tydzień, licząc na to, że pani nie zapamięta, kto jaki tekst prezentował poprzednio. Po jakimś czasie pani zaczęła utrudniać nam życie i zadawała do wyuczenia się wszystko, co w danym numerze „Mozaiki” było. Z tym też sobie jednak sprytnie poradziliśmy, podmieniając strony tytułowe i w ten sposób ucząc się tylko jednego numeru, a nie za każdym razem nowego. Po latach spotkałem moją panią profesor od niemieckiego. Przyznałem się do naszych sposobów uczenia się języka obcego. Pani stwierdziła, że od początku miała świadomość naszych kombinacji, ale uznała, że w taki sposób też można się wiele nauczyć i dlatego utrudniała

nam życie tylko trochę.

Innym przejawem tego, jak działała wtedy nasza wyobraźnia i do czego byliśmy zdolni, był ponury pomysł polegający na urządzaniu w przerwach pogrzebu jednego z naszych kolegów. Odkręcaliśmy duży blat z ławy szkolnej, układaliśmy na nim upozorowanego nieboszczyka i z pieśnią na ustach Zmarł biedaczysko w szpitalu polowym... oraz konduktem pogrzebowym maszerowaliśmy w smutku po szkolnych korytarzach. Te demonstracje musieliśmy przerwać po przykrej wpadce. Odwiedziła naszą szkołę delegacja edukacyjna z Czechosłowacji. Podczas schodzenia z „nieboszczykiem” po schodach zauważyliśmy na dole naszą panią dyrektor, grono pedagogiczne i gości z Czechosłowacji. Dwaj pierwsi koledzy, którzy nieśli katafalk, ze strachu dali dyla, co spowodowało, że „nieboszczyk” zsunął się z blatu i poturlał się wprost pod nogi pani dyrektor. Wszyscy uczestnicy pogrzebu rozpierzchli się, a później dociekaniom i szkolnym karom nie było końca.

KR: Czy chciałby Pan przeżyć swoje życie jeszcze raz?

Kocham książki Stanisława Lema. Wiele fragmentów znam na pamięć. To właśnie u Lema można było cofnąć się w czasie. Ja nie widzę takiej potrzeby – jeżeli już, to nie w pełnej świadomości. Każdy z nas zapewne, myśląc o przeszłości, zrobiłby parę rzeczy inaczej. Ale nie trzeba tego nadmiernie rozpamiętywać. Życie można ciekawie przeżywać na każdym etapie i w każdym wieku. Trzeba się jednak starać i NIE MARNOWAĆ CZASU!

MAREK BOROWSKI (ur. 4 stycznia 1946 w Warszawie) – polski polityk i ekonomista. Wiceminister rynku wewnętrznego w latach 1989–1991, wicepremier i minister finansów w latach 1993–1994, wicemarszałek Sejmu w latach 1996–2001, marszałek Sejmu w latach 2001–2004, poseł na Sejm I, II, III, IV i VI kadencji, senator VIII i IX kadencji. Zaprawiony szachista oraz brydżysta. Kochający mąż oraz wspaniały i zaangażowany w życie rodzinne dziadek